Rok I. Lwów, dnia 3. Grudnia. 1877. Nr. 29.

Prenumerata we Lwowie.
Całoroczna . . . . . 3 złr. 70 ct.
Półroczna . . . . . 1 „ 82 ct.
Z przesyłką pocztową prenumerata jak na prowincyi.
Ogłoszenia przyjmują się za opłatą 6 cnt. od wiersza drobnym drukiem.

Wydawca i Redaktor:
Ksiądz Stanisław Stojałowski.

PIAST

Prenumerata na prowincyi.
Całorocznie . . . . . . 4 złr.
Półrocznie . . . . . . 2 „
W cesarstwie niemieckiem . 8 marek.

Wychodzi co dwa tygodni.

Redakcya i Administracya:
Lwów ulica Piekarska Nr. 7.

DWUTYGODNIK
poświęcony sprawie polsko-katolickiej.

In necessariis unitas, in dubiis libertas, in omnibus caritas S. Aug. | *W koniecznych zgoda, w wątpliwych swoboda, we wszystkiem miłość. S. Aug.*

List Ojca świętego.

Do Nuncyusza Apost. w Wiedniu, z powodu jego podróży po Galicyi pisany, podajemy w oryginale łacińskim jako dokument nader ważny, tłumaczenie polskie, znane jest z wszystkich dzienników.

Pius PP. IX.

Venerabilis Frater, Salutem et Apostolicam Benedictionem!

Qui, in tam perplexa ac trepida religiosarum rerum conditione, nihil jucundius habemus nihilque pretiosius constantia fidei in populis, liberisque et publicis ejus significationibus; mirifice recreati fuimus, ab epistola tua, Venerabilis Frater, qua graphice pictos exhibebas, potius quam descriptos, honores huic Petri Sedi delatos, in te Nos referente, dum Gallaeciam lustrabas, et qua singula commemorabas loca et peculiaria factorum adjuncta, unumqnemque recensens e Praesulibus, Clero, Proceribus, populo, qui splendida ista ediderunt devotionis testimonia. Quod sane gaudium Nostrum cumulatum praeterea fuit a propensa, quam commendasti, voluntate civilium auctoritatum erga catholicorum studia, siquidem id et debitam religioni populi observantiam in illis testatur; et docet, sapienter ipsas existimare favorem Religioni Catholicae impensum, ubi ipsa viget, demulcere populum, et in magnum cedere publicae rei emolumentum, cujus prosperitati concordia sacrae civilisque potestatis summopere conferunt. Eventu svavissime affecti, et praeclara ista religionis nostrae sanctissimae gloria delectati, non universis dumtaxat, sed et singulis, sive e sacris Pastoribus, sive e Clero Saeculari et Regulari Rutheno, Latino, Armeno, sive ex Universitatibus piisque Consociationibus sive e Proceribus et populo testari desideravissemus, Paternam laetitiam, gratulationes ac pergratos animi Nostri sensus. At quoniam id fieri nequit, desiderium Nostrum tibi, Venerabilis Frater, committimus, ut aptiore, qua poteris, ratione, quod sentimus universis patefacere valeas. Leopoliensibus itaque Venerabilibus Fratribus: Rutheno, Latino et Armeno, nec non Premisliensibus Latino et Rutheno, simulque Vicario Apostolico Cracoviensi significa jucunditatem Nobis partam ab unanimi omnium obsequio et amore erga Sanctam hanc Sedem tam luculenter prodito, et auctam etiam a publico testimonio, quo studium istud praeclarissimum conjunctionis cum Nobis asserere voluerunt Leopoliensis et Premisliensis Rutheni Praesules eorumque Clerus, non modo praesentem devotionem suam diserte declarantes, sed et nobile propositum aperientes custodiendi sedulo pretiosum fidei et obedientiae vinculum, quo Supremo Ecclesiae Capiti devinciuntur. Quod sane dum piam praefert caritatis vicem Nobis relatam pro paternis, quas iis impendimus curis; futurae simul eorum constantiae pignus exhibet inter increbrescentia quotidie pericula, in quibus Nos certe eis opem ferre non cessabimus. Et hic quidem felix perfectusque consensus omnium, quanti faciendus sit in unitatis catholicae decus, clarissime patuit in honoribus tibi, velut Nuntio Nostro Apostolico, delatis per confertissimam et unanimem populi diversorum rituum ad te confluentis undique frequentiam per occursum Episcoporum et Cleri, per jugem Procerum assectationem, per plausus, per salutationes conviviales, per nocturnas aedium et urbium illustrationes. Et haec omnia a religioso reapse sensu processisse demonstravit Staraviesense Sanctuarium in Deiparae solemniis, in quibus nescias quid magis mireris, an confluentium undique populorum frequentiam, an divini verbi audiendi studium, an religiosissimam animorum comparationem in sacris exercitiis obeundis, an impensum sacramentorum desiderium ne ipsa quidem diuturna inedia dejectum, cui centum sacerdotes satisfacere nequibant, an demum perfectissimam illam diversorum rituum in re peragenda concordiam, quae in caeteris omnibus significationibus eluxerat. S e m p e r e q u i d e m p r a e c i p u a P o l o n i a e l a u s f u i t i n t e r g r i t a s f i d e i a c a b s o l u t a h u i c P e t r i S e d i d e v o t i o; unde Benedicente Deo, decus et incrementa, sibi alias accessisse meminit, et n u n c i n a d v e r s i s v i r t u t e m c a l a m i t a t i p a r e m c o e l i t u s s i b i l a r g i r i e x p e r i t u r. Gratulamur itaque tibi, quid tantum religionis nostrae sanctissimae gloriam cominus aspicere potueris, sed magis etiam gratulamur, quod ad ejusdem religionis negocia fovenda provehendaque missus, non pontificalia tantum solemnia tibi celebranda duxeris, sed saepe quoque prospiciendum animabus per sacramentorum administrationem, posthabito quovis incommodo et ipsius valetudinis discrimine: praesertim ubi effeto et laboranti Episcopo sub pluvio coelo succedens, confertissimis fidelibus sacram contulisti Confirmationem.

Benedicat Deus isti regioni, benedicat sacris ejus Pastoribus, benedicat Clero populoque, confirmet eorum fidem, fovet concordiam, vires sustentet inter difficultates, universosque supernis augeat muneribus suis. Sit autem omnibus et iis nominatim, qui se a Nobis benedici postularunt, coelestis favoris auspex Apostolica Benedictio, quam tibi, Venerabilis Frater, singulis Gallaeciae Praesulibus totique Clero eorum et populo peramanter impertimur.

Datum Romae apud S. Petrum die 8 Novembris 1877. Pontificatus Nostri anno tricesimo secundo.

Pius PP. IX.

Straż zasad czy prywata.

Nie masz nic większego, szlachetniejszego, oraz bardziej w obec Boga i ludzi zasługującego, nad niezłomną *wierność zasadom prawdziwym*, które się wyznaje i o których pewności ma się silne, głębokie przekonanie, i ponad pilne i czujne stanie na straży w obec niebezpieczeństw, tymże zasadom i wypływającym z nich interesom grożących.

Justum et tenacem propositi virum,

opiewał już wieszcz rzymski, i póki na ziemi lutnie poetów głosić będą chwałę mężów wielkich siłą charakteru, bez wątpienia pierwsze dźwięki poświęcać nie przestaną ludziom dzielnego a pięknego charakteru.

Szczytne jednakże tej chwały stanowisko należy się zwyczajnie ludziom genialnym, którzy się wznoszą nad zwykły śmiertelnikom poziom. W życiu zwyczajnem niezłomność w zasadach u pewnych ludzi, goniących za chwałą idealnych wielkości, dość często sprawdza znane przysłowie: *extrema se tangunt*. Niezłomność staje *zaprzeczeniem* zasad.

Kto wiernym zasadom, wierny być winien zawsze i we wszystkiem; inaczej wyrodzi się rażąca jednostronność, niemiła Bogu, niepożyteczna ludzkości.

Jaskrawy a bliski przykład takiej jednostronności mamy w tych osobach pobożnych, które całą swą pobożność pokładają w pewnych praktykach religijnych, poza któremi znaleść w nich można wszelkie wady życia. Owoż podobnie obok żarliwej ortodoxyi w pewnych zasadach, grzeszyć można zupełnem zaprzeczaniem innych zasad, nie mniej nieodzownych do prawdziwie chrześciańskiej i męzkiej cnoty.

Ileżkroć razy zdarza się, iż żarliwa ortodoxia jest arcywygodną pokrywką prywatnych interesów, osobistych ambicyjek, lub nieubłaganej dumy? Można w ten sposób często przez czas dość długi olśniewać oczy patrzących na rzeczy z daleka, można nawet schlebiać samemu sobie i łudzić się własną gorliwością, atoli jest pewien probierz, za pomocą którego można niechybnie odróżnić blichtr od prawdy, a prawdziwą wierność zasadom od wierności służenia osobistym lub parcyalnym interesom.

Kto wzbił się na wysokość swojego posłannictwa strzeżenia zasad odwiecznej prawdy, ten ma widnokrąg rozległy, ideę wysoką: „chwały Bożej przez pożytek ludzkości, a względnie dobro własnego narodu.“ W obec tego wzniosłego celu nikną wszelkie prywaty i drobnostkowe interesa, a więc i swój własny, który niemniej bezwzględnie się pomija, i jak interesa obce w tem i wtedy, w czem i kiedy chodzi o dobro powszechne.

Jeżeli tego niema — jeżeli wówczas gdy oczywiście sprawa dobra powszechnego cierpi, ludzie stojący na straży zasad, znoszą to spokojnie i obojętnie, byleby interes swój osobisty ocalić, albo też narzekają słowy na szkodę sprawy publicznej, a w czynie nie chcą na ołtarzu pospolitego dobra poświęcić osobistych swych ambicyj i dążności, albo się wzdrygają przed spełnieniem obowiązku, który nakazuje sumienie, uczciwość i sprawiedliwość chrześciańska, jawnym to dowodem, że im nie o straż zasad, ale o strzeżenie i pielęgnowanie własnej miłości, nie o zasady, ale o prywatę chodzi. *S. S.*

Kilka uwag

o stosunku filozofii do religii.

(Dokończenie.)

Filozofia prawdziwa jest postępem i czynnością rozumu w zakresie wiary, tak jak wiara jest spoczynkiem rozumu na podstawie boskiej powagi — będzie to wiara, która, o ile możliwe, stała się pojęciem i przeszła w rozumienie. Zadaniem jej zbijanie przesądów nauką, pozyskanie rozumu rozumem, aby go nawrócić do wiary. Taka filozofia z religią zawsze się zgodzi na szczęście i zaszczyt ludzkości — religia dając filozofii prawdziwy zaród mądrości i nauki, filozofia zwracając religii darów tych owoce, obie podnosząc społu władze człowieka ku niebu. — Tak pojmuje Kościół stosunek ich do siebie mówiąc przez usta św. Tomasza z Aquinu: „Etsi fides sit supra rationem, nulla tamen vera dissensio, nullum dissidium inter ipsas inveniri umquam potest, cum ambo ob uno eodemque immutabilis aeternaeque veritatis fonte, Deo optimo maximo, oriantur et ita sibi opem ferant.“ Rozum i wiara jednym darem bożym! — Jeszcze słów kilka do bałwochwalców rozumu. „Religia i filozofia są to dwie siostry, które się nawzajem szanować i wspierać powinny“ pisze Guizot—*Oder Unvernunft*, dodajemy tu z Sailerem, *die dem Glauben nicht gibt den Kuss schwesterlicher Eintracht.*“ Nie, dodaje to marzenie pychy człowieka, bo filozofia dziełem jego umysłu, religia ma w Bogu początek. Religia i filozofia nie są bynajmniej dwoma siostrami, raczej dwoma córkami, jedna Ojca naszego, który jest w niebie, druga prostego umysłu człowieka.“ — Tak wyrzekł Guizot. My nie przeczym zasługom filozofii, nie przeczym i godności rozumowi ludzkiemu. Ochotnie zastanawiamy się nad nim, a czyniąc to bez uprzedzeń znajdujemy w nim według słów Mareta „nieporównaną wielkość i wspaniałość, która nas zachwyca, znajdujemy odurzające światło i potęgę, która zdaje się dosięgać wszystkiego, ale zarazem w łonie tego światła dostrzegamy cieniów, a potęga jego nieuprzedzonym oczom pokazuje swą słabość i zadziwiające niemoce. Uwielbiwszy więc wielkość uznajemy niedostatek.“ — Dla tego Kartezyusza trzymamy się zasady: „to co Bóg objawił jest nieporównanie pewniejsze jak wszystko inne, abyśmy w przypadku, gdyby rozum zdawał się nastręczać nam coś przeciwnego, byli zawsze gotowi poddać sąd nasz pod to wszystko co od Boga pochodzi.“ — I tak też zawsze być powinno, wszak:

Sidera contendebant de principatu,
Sol oritur, cessant sidera soli.

Zresztą i na to pamiętać należy co Malbranche mówi, iż „najlepiej użyjemy rozumu starając się o wyrozumienie prawd, którym poddajemy się przez wiarę, i o wyrozumienie wszystkiego, co te prawdy stwierdza.“ Powiedziano zaś: „omnis scientia ducit ad Deum“ słowo powtórzone przez Humboldta: „*Alle Wahrheit führt zu Gott.*“ — I filozofia umiejętnością, a umiejętnością prawdy, tem bardziej więc do Boga prowadzić nas winna. Zresztą jakżeby mogła filozofia bez Boga odpowiedzieć swemu zadaniu? — Idea prawdy nawodzi ducha z koniecznością na myśl prawdy najwyższej, prawdy absolutnej — idea dobra na myśl dobra nieskończonego, a idea bytu do bytu nieograniczonego, absolutnego — wszystko zaś wiedzie do Boga. Stąd znów słowo Kartezyusza: „Idea Boga tem w naszym rozumie, czem imię artysty na dziele rąk jego.“ Stąd też uznanie Boga tak bliskie jest duchowi naszemu, iż słusznie pismo wyrzec mogło: „cum non longe sit ab unoquoque nostrum, in ipso enim vivimus, movemur et sumus“ — słusznie też powiedzieć mógł jeden z Ojców kościoła, mówiąc o pewnym niedowiarku: „haec est summa ejus delicti, ut agnoscere non vult, quem ignorare non potest.“ — Jedno ducha spojrzenie, Boga wskazuje i konieczność myślenia do Boga prowadzi. Otworzysz oczy światło przed tobą, wnet szukasz źródła, skąd ono wypływa, wznosisz wzrok w górę i słońce spostrzegasz. Lecz inne oko jest jeszcze w tobie, oko wewnętrzne ducha twojego, roztwórz je, prawda przed tobą jaśnieje i znowu szukasz, gdzie jej początek, i wzrokiem sięgasz ku niebu, tam bowiem słońce świata duchowego, tam Bóg twój przebywa. — I otóż rozum do prawdy a prawda wiedzie do Boga, bo Bóg jest prawdą. On jest, jak sam Plato powiada początkiem, środkiem i końcem wszystkiego. To też w oczach ludzi prawych, ludzi z prawdziwem wykształceniem, nikt się tem nie zaleci gdy szyld ateizmu i niereligijności wywiesi. „Si sapientia Deus est per quem facta sunt omnia, verus philosophus est amator Dei.“ Św. Augustyn (de civit. Dei.) I filozofem go nie nazwę, bo będąc filozofem powinienby pamiętać na słowa Bakona poniekąd ojca nowszej filozofii: „Leves gustus in philosophia movere fortasse ad atheismum, sed pleniores haustus ad religionem reducere,“ — słowa tylekrotnie już doświadczeniem stwierdzone.

Bezwątpienia gruntowna wiadomość najlepszym jest lekarstwem dla tych, którym płytkość podług Platona „cum religione simul et intelligentiam corrupit.“ Mówią, że w naszych czasach pełno jest niedowiarków. Być może, ale my raczej powiedzmy z Fenelonem, że „im nie tak religii jak rozumu brakuje“ pominąwszy już to co inny mówi, „iż ateistą można być więcej słowy niż sercem.“ Dla czegoż ich tak wielu? Oto, bo jak Lessing uważa „tysiąca za jednego jest celem badania to miejsce, gdzie ich badanie znużyło, a gdzie się ono właściwie dopiero zaczyna.“ Przypomnijmy sobie i słowa Frontego: „Omnium artium, ut ego arbitror imperitum et indoctum esse praestat, quam semiperitum et semidoctum. Philosophiae quoque disciplinas ajunt satius esse nunquam attigisse, quam leviter et primoribus ut dicitur labiis delibasse, eosque provenire malitiosissimos, qui in vestibulo artis obversati prius inde averterint quam intraverint.“ (Fronto ad M. Caes.) — Nędzna ta umiejętność, ktora ucieka przed tem co tajemnicze. Wszak mówi Balmes „tajemnica gruntem wszystkiego, sami dla siebie jesteśmy zagadką, której klucz wiara posiada. Człowiek filozofią prawdziwie przenikniony wyznać musi, że owocem wszystkich poszukiwań i rozpamiętywań jest przekonanie o słabości i niewiadomości naszej. *Schmerz ist Erkenntniss, wer am meisten weiss, der fühlt am tiefsten auch die grause Wahrheit, dass der Erkenntniss Baum nicht der des Lebens!* (*Byrons: Manfred.*) Nauka religii stawia nas od samego dzieciństwa na stopniu, którego tylowieczne wysilenia mądrości ludzkiej dosięgnąć nie zdołały. Istotnie dziecko katolickie, odpowiada według katechizmu krótko i zwięźle na pytania, nad którem filozofowie głowy sobie mozolą. — Katechizm ta maleńka książeczka od wielu wzgardzona, większe daleko prawdy i pewniej i jaśniej wyraża niż całe foliały przez wielce spekulatywne głowy spisane.

A teraz na zakończenie zapytajmy się — co powiedzieć o tych, którzy znieważanie religii obrali sobie prawie za życia zadanie? — Bracia to nasi — synowie jednej matki — ale zapominają, że matką tą Polska katolicka — a prawdziwy Polak — katolik! — Przecząc religii zrywają z całą narodu przeszłością — depczą jego zwyczaje i obyczaje — depczą święte przodków pamiątki! — Negują! — niepomni, że zasada negacyi to zasada rozkładu, — a oniby ojczyznę odbudować radzi! — Herostraci nasi! — jak tamten chcąc imię swoje uwiecznić świątynią efeską, chlubę swego kraju zapala, tak i ci w podobnym celu niszczą narodu polskiego chlubę, rzucając nawet w serca ludu niewiary zarzewie! — Skarłowaciałe plemię nie mogąc w wielkości przodkom dorównać, w bezbożności ich przewyższa — a gdy budować nie umie w rozwalaniu szuka chwały! — Lecz niech oni wątpią—niech odrzucają, co się im podoba, my strzeżmy pilnie w sercach naszych świętych wiary rodzinnej relikwij — a zobaczymy, kto się z nas lepiej sprawie ojczystej przysłuży! — Dawną jest ona, ale nie przedawnioną, nie przestarzałą bynajmniej. I lud pospolity w nią wierzy, ale stąd nie wypada, by ona sama czemś pospolitem być miała. — Jest prawda pospolitą, ale jak to słońce, do którego i król i żebrak wzrok swój podnoszą — jak to powietrze, które i geniusz najbardziej rozwinięty i niemowlę w kolebce świeżością życia napełnia. Strzeżmy więc powtarzam tej świętej wiary naszej — a do niedowiarków nowoczesnych odezwijmy się z Katonem: „Przyjacielu! — młodym jeszcze jesteś, a z wiekiem przekonania zmieniać się zwykły, — co dzisiaj twierdzisz, po latach kilku przeczyć znów będziesz. Wstrzymaj się zatem z wyrokiem twoim w tak ważnej sprawie jak są bogowie i życie człowieka cnotliwe. Na teraz zaś pozwól, bym ci powiedział słowo zdrowego rozsądku: — Ani ty — ani towarzysze twoi nie pierwsi występujecie z podobnemi zdaniami. Znałem ich i to o nich powiedzieć ci mogę, że z nich żaden, gdy w młodości Boga zaprzeczał w tem przekonaniu do starości nie wytrwał. Zastanów się więc, dobrze a niechciej przesądzać zawcześnie, teraz zaś pilnie wszelkiego unikaj bluźnierstwa.“

„Nie daj tego Boże, abym miał być tyle niesprawiedliwym i niewdzięcznym — mówi znakomity uczony i filozof Bonnet — na palcach wyliczę dobrodziejstwa religii i wyznam w głos, że sama prawdziwa filozofia winna jej swój początek i udoskonalenie swoje.“

Zakończmy zaś słowy Sailera:

Wer die Philosophie
Der Schrift entgegensetzt

Vernunft gegen Bibel setzt
Der komt zur Weisheit — nie!
Ks. *A. K.*

Wiara, Nadzieja i Miłość.

POWIEŚĆ Z EPOKI TERRORYZMU

z angielskiego tłumaczył X. . . . .

(Ciąg dalszy).

Rozdział XLIX.

Miłość przebacza.

Po tej rozmowie z bratem czuła się Konstancya wielce przygnębioną na duchu. Bratu jej rodzonemu groziło wielkie niebezpieczeństwo — a w jej mocy leżało uchylić takowe. Miałaż się wahać jeszcze? Prawda że serce swe dawno już postanowiła poślubić Bogu, lecz czyż wypadało opuścić brata, jakkolwiek tenże nie zasługiwał na żadne względy? Napróżno tarła konwulsyjnie białą dłonią swe czoło, chcąc niejako wykrzesać zeń myśl, któraby jej wskazała wyjście z tego błędnego koła. Dreszcz przeszedł ją od stóp do głowy, jakby za dotknięciem gadziny, gdy jej stanęła przed oczyma myśl o zaślubieniu podobnego człowieka, jakim był przyjaciel jej brata De Vere. Przeszła w myśli cały szereg przyjaciółek swoich, — niestety nie było w tej chwili nikogo przed kim mogłaby się zwierzyć w teraźniejszym utrapieniu swojem. Jedna Opatrzność czuwała nad nią, od Niej też wyczekiwała jedynie zbawienia.

Rozstawszy się ze siostrą powrócił Robert Vernon prosto do swego mieszkania; De Vere czekał już na niego. Zrazu był Robert milczącym i ponurym i zbywał niczem każde pytanie przyjaciela; lecz dał się zmiękczyć nareszcie i opowiedział mu całą przygodę z Konstancyą.

— No i cóż sądzisz że siostra twoja zgodzi się na to ostatecznie?

— Co! kto ci powiedział, że ona jest moją siostrą?

— Przestań że być dzieckiem Dartonie, lub Vernonie, czy jak tam zresztą sam chcesz nazywać siebie; głupi nie domyśliłby się tego; zresztą sam mi to powiedziałeś wczoraj i to nie raz jeden, gdyśmy wrócili z balu. Przypuszczam że mogłeś być pijany w owej chwili, lecz coś mi powiedział, sądzę żeś prawdę powiedział. Gładka istotnie dzieweczka; o jakbym pragnął.....

— Milcz, albo uduszę cię jak psa, jeżeli jeszcze jedno słowo o niej poważysz się wyzionąć!

— Według mego zdania, panie Vernon, im mniej będziemy ze sobą mówić o uduszeniu, tem lepiej: bo przecież środki któremi ja rozporządzam, stawiają mnie w daleko korzystniejszym położeniu, abym mógł sprawić ci tę przyjemność. Lecz po co te kłótnie? Wiesz przecież, że tak związani jesteśmy ze sobą, że żaden z nas na własną rękę bez drugiego nic zdziałać nie potrafi, że więc musimy trzymać ze sobą: bo jedna i ta sama droga prowadzi nas obu albo do szczęścia albo do ruiny. A teraz powiedz że mi, czy przyniosłeś pieniądze ze sobą?

— Nie; otrzymam je dopiero pojutrze.

— To nic — i pojutrze się zdadzą. Teraz idziemy na wieczerzę; a potem do teatru lub ...

— Ja zostaję w domu — odburknął Vernon opryskliwie. —

— Błazeństwo, — odparł de Vere — twoje dzisiejsze napady tetryczne nie czynią cię w prawdzie miłym w towarzystwie, lecz najmniej nadają się do samotnych myśli twoich.

Vernon dał się jednakże namówić i wyszedł z przyjacielem do wskazanego hotelu. Jak zwykle w podobnych razach, tak i dziś nie umiał zachować miary używając napojów: skutkiem tego było, że w dalszem następstwie dał się uwieść swemu towarzyszowi i poszedł z nim do jednego z osławionych podówczas domów gry. — Gra, była niestety dlań pierwszym krokiem na pochyłej drodze do zepsucia, ona też miała się stać ostatnią przyczyną jego upadku i przedwczesnej śmierci. I dziś ciągnęło go do zielonego stolika: postanowił grać, i to wysoko. De Vere starał się odciągnąć go zrazu, widząc jednak że i prośby i groźby nie odnoszą żadnego skutku, usiadł i on do tego samego z nim stolika. Vernon przegrał wszystko. Grali *écarte*; De Vere wygrywał każdą grę, co nareszcie tak zniecierpliwiło Roberta, że w najwyższem uniesieniu ze złością człowieka opętanego zawołał:

— De Vere ty jesteś oszustem; byłeś nim zawsze, lecz dziś przekonujesz mnie, że w tobie nie ma i tej szczypty honoru, którym się szczycą pospolici złodzieje. Ty okradasz nawet twoich wspólników. Każdy mój pieniądz musi ostatecznie stać się twym łupem. Podły nikczemniku! sądzisz li że już tak nisko upadłem, abym niewinną siostrę moją wydać miał na pastwę twojej przewrotności? — nie, nigdy!

Wymówiwszy to jednym tchem, podniósł zaciśniętą dłoń i z całym zamachem rzucił się na towarzysza. De Vere odbił raz przeciwko sobie wymierzony: — wszczęła się zacięta walka, którą trudno opisać. W jednej chwili powstał rozruch i zamięszanie, bo wszyscy obecni wzięli udział w toczącej się bijatyce. Vernon rozogniony trunkiem, rozwścieklony namiętnością nie dał się powstrzymać, rzucając się na wszystkie strony, rozdzielał razy swoim przeciwnikom, a że cała bójka przeniosła się na kurytarz, De Vere chcąc położyć koniec temu widowisku, postanowił wymknąć się niepostrzeżenie. Już był na wschodach, gdy go spostrzegł Vernon. Z gwałtownym zapędem, wyrwawszy się z tłumu rzucił się ku wschodom, lecz w tej chwili umknął w bok De Vere, a Vernon obaliwszy się, całym ciężarem swoim stoczył się na dół. — De Vere przyskoczył doń. Leżał bez zmysłów, cały krwią zbroczony. Po chwili odzyskał przytomność i głosem stłumionym zawołał: „Boże mój Boże, siły mię opuszczają, umieram. Gdzie Konstancya, weźcie mię do Konstancyi“ i znowu zapadł w sen letargiczny.

De Vere nie znał mieszkania Konstancyi, przeszukał więc kieszenie Roberta czy między papierami jego, nie znajdzie się jaka w tej mierze wskazówka. Istotnie znalazł adres Konstancyi, według którego natychmiast kazał go odwieść do mieszkania siostry.

Konstancya nie spała. Ostatnie widzenie się z bratem, takie na niej wywarło wrażenie, że tej sceny z wyobraźni

wymazać nie mogła, napróżno też wyglądała snu, który ulatywał od jej powiek. Wreszcie usnęła lekkim snem, gdy ją obudził rozruch na ulicy; nie przeczuwała iż wkrótce dowie się o strasznej nowinie: że brat jej zraniony, umierający, będzie ją prosić o schronienie i ratunek. Gdy De Vere zapukał do mieszkania Konstancyi, odźwierny oparł się i wzbronił stanowczo wstępu do mieszkania. Było to późno w noc, oświadczył więc że dla szajki pijaków nie myśli alarmować całego domu, zwłaszcza o tak niezwykłej godzinie. De Vere groził, błagał, obiecywał — nic to nie pomogło. W końcu wymógł De Vere na nim, że się podjął doręczyć pani swej wizytową kartę.

W mgnieniu oka, zarządziła Konstancya wszystko na przyjęcie brata. Jego niegodziwe obejście się z nią, jego występne życie, wszystko to puściła w niepamięć w obec groźnego niebezpieczeństwa w jakim się w tej chwili znajdywał. Dwóch najsłynniejszych lekarzy sprowadzono natychmiast, a ci zgodzili się jednomyślnie, że życie Roberta policzonem było na godziny. Z anielską cierpliwością czuwała Konstancya u łoża dogorywającego brata; ani na chwilę nie odstępywała go; sama usługiwała mu, sama przyrządzała wszystko co przepisali lekarze. Zatrudnienie podobne nie było jej obcem. Mając co dzień sposobność do zajmywania się chorymi i nieszczęśliwymi, przeszła ona w tej mierze całą szkołę, to też przygotowaną była i łatwiej przychodziło jej w tej chwili oddać podobnie smutną przysługę własnemu bratu.

Gdy lekarze, po przepisaniu odpowiednich środków oddalili się, zapadł Robert w niespokojny sen. Gdy się ocknął pierwszym przedmiotem, który mu wpadł w oczy była troskliwa Konstancya.

— Siostro — ozwał się do niej — droga ma siostro pójdź tu bliżej mnie; już nie wiele należy mi się na tym świecie, powiedz mi czy mi przebaczasz?

— Robercie, kochany Robercie, co do mnie nie mam ci nic do przebaczenia; jeżeli zaś czujesz słabym na siłach, czy nie pragniesz z Bogiem pojednać się i Jego błagać o przebaczenie? Drogi bracie, zwróć myśli twoje w tę stronę; jeszcze nic jest za późno. Czy mam posłać po księdza? Mówiąc to, padła Konstancya na kolana i wyciągnęła błagające dłonie ku bratu.

— Masz słuszność Konstancyo, uczyń jak mówisz lecz natychmiast, bo obawiam się aby nie było za późno.

Niedługo potem, przybył ksiądz z ostatniemi sakramentami. Podczas gdy tenże zajętym był u łoża umierającego, Konstancya udała się do swojej komnaty i padłszy na kolana, zanosiła dziękczynne modły do Boga za miłosierdzie które okazał względem jej brata. — Ledwie kilka chwil upłynęło, gdy jej zapowiedziano przybycie pana Brereton. Trwoga owładnęła serce Konstancyi, gdy usłyszała wymówione to imię. Zebrała na prędce swe myśli i pospieszyła do gościnnego salonu. — Gdy schodziła ze schodów zabłysła jej nagle szczęśliwa myśl. Czy nie było to zrządzeniem Opatrzności, że człowiek ten, przychodził właśnie w tej chwili, aby mógł pojednać się z jej bratem i przebaczyć mu wyrządzoną krzywdę.

— Przebacz łaskawa pani — ozwał się p. Brereton, że przychodzę, w tej właśnie porze. Wiem, że zajętą jesteś jakimś nieszczęśliwym, który wezwał twej dobroczynnej opieki, lecz na mnie cięży obowiązek złożenia w ręce pani małej kwoty tysiąca funtów, którą zapłacić mam w imieniu przyjaciela mego Sommersa, a postanowiłem wywiązać się z obowiązku tego w własnej mojej osobie.

Jakto — zawołała Konstancya drżącym głosem — pan wiesz o tem, że mi potrzebne były te pieniądze? Nie przypuściłabym nigdy, że Mr. Sommers wtajemniczy pana w tę sprawę.

Gwałtowne wzruszenie, które malowało się na obliczu dziewicy, naprowadziło natychmiast pana Brereton na domysł, dla kogo pieniądze te potrzebne były Konstancyi. Wiedział on o niegodziwem postępowaniu jej brata i o niegodziwych sztuczkach jego, za pomocą których wyłudzał od niej pieniądze; wiedział też że niegodziwiec ten był jeszcze przy życiu, nie przypuszczał jednak ani na chwilę, aby tenże poważył się postawić nogę na ziemi angielskiej.

— Przebacz mi pani, jeżeli się zapytam, dla kogo potrzebne były jej te pieniądze i to w tak krótkim terminie?

Konstancya milczała. Brereton kończył z namiętnem wzruszeniem.

— Przysięgam pani, panno Konstancyo! jeżeli kwota ta przeznaczoną jest dla twego niegodnego brata, nie dotknie on się jej nigdy. Raczej banknoty te, a nawet cały mój majątek rzuciłbym płomieniom na pożarcie, a jednego szeląga nawet nic dałbym Robertowi Vernon chociażby zostawał w ostatniej nędzy.

— Na miłość Boga, nie unoś się tak panie Brereton; wszakże jam siostrą jego.

— Tak, wiem o tem; lecz tyś aniołem, a on wcielony demon. Nigdy dobroć twoja, ani nieskalany charakter twój nie zatrze czarnej plamy ciążącej na życiu nikczemnego brata twego.

Przyznaję, chętnie że moje jakiekolwiek zasługi nie zmażą jej, lecz zasługi Zbawiciela wystarczą na jej zgładzenie.

— To bluźnierstwo, utrzymywać, że dla tak podłej niegodnej istoty, stoją jeszcze otworem wrota zbawienia. Jeżeli nie co innego, to przekleństwo ojca, na którego siwą głowę zwalił takie straszne nieszczęście, stanie się dlań gromem pogrążającym go w otchłań piekielną.

— Panie Brereton — błagała Konstancya na kolanach jak pragniesz sam przebaczenia bożego, tak przebacz bratu mojemu.

Jemu przebaczyć? o nie! odepchnąłbym go z pogardą od siebie, gdyby w miejscu twojem leżał u moich stóp.

Konstancya patrzała w surową twarz, nieubłaganego kupca, a przybierając odmienny ton, z łagodnością lecz stanowczo rzekła.

— Jeżeli nie wzgląd na mego brata, to przynajmniej na twoje własne zbawienie panie Brereton, niechaj cię skłoni do przebaczenia mu; zwłaszcza że w krótce żałować ci tego przyjdzie, że tego w tej chwili nie uczyniłeś. Boski nasz zbawca dał nam przykład, jak mamy przebaczać nieprzyjaciołom naszym, dając nam zarazem naukę, że w przeciwnym razie i my nie mamy spodziewać się Jego przebaczenia.

Konstancya wyglądała w tej chwili tak czarująco, tak jej nieskalana cnota przemawiała rozbrajająco w sprawie brata winowajcy, że zawziętość Breretona w obec niej topnieć poczęła. Podniósł ponury wzrok od ziemi i rzekł:

— Przebacz mi, panno Konstancyo, uznaję że jestem w błędzie, za daleko dałem się unieść namiętności.

— A więc przyrzeknij mi pan, że mu przebaczysz.

Twarz Breretona zmarszczyła się znowu; w oku jego zabłysnął powtórnie ogień gniewu.

— Czy Robert Vernon przebywa w Anglii? — zapytał urwanym głosem.

Z piersi Konstancyi wydobyła się cicha i nieśmiała odpowiedź „Tak.“

— Wielki Boże, czy to być może? Miałżeby on odważyć się na to? A może nawet ukrywa się w tym domu? I dla niego to przeznaczone są te pieniądze, aby służyły mu jako zarzewie dalszych jego występków. Nie panno Konstancyo.....

— Posłuchaj mię pan cierpliwie, panie Brereton. Brat mój istotnie znajduje się w moim domu, leży on tu na łożu śmiertelnem. Właśnie w tej chwili gdy mówimy ze sobą, rozmawia on ze sługą Kościoła, z kapłanem, który w imieniu bożym udziela mu przebaczenia, którego dostępuje każdy szczerze pokutujący. Miałbyś ty sam, panie, odmówić mu tego i rzucać nań kamień potępienia? O jeżeli ta chwila nie zmiękczy cię, natenczas nie na nim, ale na tobie ciężyć będzie wina błędów jego.

— Czy to istotnie prawda, co słyszę z ust twoich pani?

— Zaczekaj więc pan chwilę, a przekonasz się o tem, co wymówiwszy wybiegła spiesznie z komnaty.

W sercu tej niebiańskiej istoty gorzał ogień miłości, który pouczał ją, jak ważną rzeczą jest, pojednanie zwaśnionych. Wbiegła do pokoju gdzie leżał jej brat umierający. Kapłan ukończywszy swe dzieło pojednania, klęczał u boku chorego odmawiając modlitwę. Konstancya zbliżywszy się do brata, szepnęła mu coś na ucho. Robert podniósł natychmiast oczy, a z oczu tych widać było, że przedmiotem ich bezpośrednim była niedaleka już przyszłość — i cichym głosem rzekł:

— Dobrze, dobrze, jak Bóg łaskaw jest dla mnie; przyprowadź go tu. O spiesz się i powiedz mu że....

Ostatnich słów nie słyszała już Konstancya, dla niej dostatecznem było słyszeć pierwsze wyrazy, aby czemprędzej udać się po Breretona. Bez pytania ująwszy rękę jego, poprowadziła go ze sobą.

Dwaj ci ludzie długo patrzali na siebie nieruchomie; jeden z nich młody przystojny, obdarzony talentem, słowem w kwiecie wieku młodzieniec; drugi starzec zgrzybiały, z poraną zmarszczkami twarzą, przygnieciony ciężarem lat, u schyłku których musiał przetrwać burzę zgryzot którą sprowadziły nań występki człowieka, nad którym siedział w tej chwili pochylony. Pierwszy Robert przerwał grobową ciszę i wyszeptał drżącemi usty: *„przebaczenia.“* Brereton chwytając bezwładną rękę młodzieńca, rzekł:

— Niech ci tak Bóg przebaczy, Robercie Vernon, jak ja ci szczerze przebaczam. Obyśmy kiedyś zeszli się razem w owej krainie — tu wskazał na niebo — i stali się uczestnikami owego szczęścia które obiecane jest pokutującym i przebaczającym.

Robert zwrócił się ku siostrze. Konstancya pochyliwszy się nad konającym wycisnęła pocałunek na jego czole i w tej samej chwili usłyszała ostatnie słowa jego: „O Boże! idę już — przebacz mi.“

W następnej chwili. Robert Vernon już nie żył. Łzy pociekły z oczu Konstancyi, lecz i Brereton nie pozostał niewzruszonym, zapłakał i on; ale ze łzami jakiś dziwny pokój sączył w ich serca, gdy patrząc na martwe przed sobą zwłoki, widzieli, jak ta twarz która za życia była siedliskiem zarozumiałej pychy, dziś przedstawiała obraz świętości i pokory.

Rozdział L.

Zaślubiny Rebeki.

Śmierć Robespierra pociągnęła za sobą ogromne zmiany na giełdzie wszystkich krajów Europy. Każda spekulacya finansowa stała mniej lub więcej w związku z tym wypadkiem dziejowym; najbliżej zaś przedsiębiorstwo akcyonaryuszów hiszpańskich, w którem spoczywał majątek Mr. Sommersa. Jakaż musiała być jego i Benimena radość, gdy w dwa dni po otrzymaniu zastraszającej wiadomości o nagłem spadnięciu akcyj hiszpańskich, takowe naraz podskoczyły w górę i doszły do niepraktykowanej dotąd wysokości. Po obliczeniu strat dotychczasowych, przekonali się oni, że im zawsze jeszcze pozostawało tyle, aby mogli sobie i dzieciom niezawisłą przyszłość zapewnić.

Rebeka i Marya były niewyczerpanym przedmiotem rozmowy uszczęśliwionych ojców. Benimen nie mógł się dotąd przekonać o ocaleniu swej córki; — wiadomość o tem olśniewała go takiem szczęściem, że mu się to niepodobnem być wydawało. Jak można łatwo wyobrazić sobie, jedynem pragnieniem jego, od czasu kiedy otrzymał list od Barrona; było, powrócić czem prędzej do Paryża. Sercu ojcowskiemu nie wystarczała sama wiadomość, pragnął on dziecię swe przycisnąć do łona. W tej też epoce przyszło mu nader łatwo ugiąć ostatecznie ducha swego przed ołtarzem chrześcijanizmu: wszystkie trudności, które mu się przedtem na każdym kroku nasuwały, ustąpiły teraz na zawsze. Odtąd wierzył, miłował i cześć winną oddawał Bogu chrześcijan.

Jenerał Barron napisał drugi list zaraz po śmierci Robespierra. Jakkolwiek utrzymywał w nim że stan polityczny Francyi dalekim jest od niezamąconego pokoju, to jednak Benimena zapraszał do powrotu zwłaszcza że główni jego wrogowie już nie żyli. Jenerał był już odkomenderowany do Wandei i miał się tam połączyć z jenerałem La Hoche w celu pomagania temuż w dziele pacyfikacyi tej prowincyi, jednakże oparł się temu i z wielką trudnością uzyskał pozwolenie pozostania jakiś czas jeszcze w stolicy. Nie chciał on zostawić samej Rebeki, póki nie widziałby jej pod opieką ojca. Ten powód zdecydował natychmiastowy powrót jego do Francyi.

Mr. Sommers wraz z córką odradzali mu opuszczać Anglię, póki stosunki Francyi nie ułożą się tak, aby się można było spodziewać trwałego pokoju; lecz Benimen każdy ich zarzut odpierał tem, że szlachetny jenerał życzył sobie jego przyjazdu i sądził że żadne przeszkody nie stoją temu na zawadzie. Zresztą niechby mu kazano wydalić się z Paryża w jednej chwili i nie odwołalnie — co zresztą nie należało do rzeczy niepodobnych — co w takim razie stałoby się z Rebeką, zostałaby bez wszelkiej opieki. Na takie przedstawienia nie mieli Mr. Sommers ani Marya nic do powiedzenia, nie wstrzymywali go też więcej od wyjazdu.

Napróżno siliłoby się pióro moje opisywać spotkanie Benimena z córką. Radość ich była w całem znaczeniu bez granic, jaka nader rzadko dostaje się w udziale zwykłym śmiertelnikom. Przecierpiana boleści potęgowały obecne szczę-

ście. Ileż to oni mieli do opowiadania sobie; z każdej upłynionej chwili długiego rozłączenia, zdawali sobie ścisłą sprawę. Benimen przyznawał się z prostotą dziecięcia, jakiemi dusza jego szarpana była pokusami, jak powziął był już postanowienie porzucić chrześcijanizm i wrócić do wiary przodków, a tylko Maryi Sommers zawdzięcza że dotąd pozostał niewzruszony przy Sztandarze Chrystusa. Rebece sprawiało to niewymowną rozkosz, że piękna córka Albijonu, która w rozpaczoną duszę ojca wlała nadzieję i rozprószyła jego zwątpienie, była ową czarującą dziewczynką, z którą przed laty spotkała się w Paryżu, a która i jej rozwidniła ciemną wówczas drogę życia.— Nierówniej i Benimen z troskliwością dopytywał się o każdy najdrobniejszy szczegół ocalenia Rebeki. Z utkwionym w ziemię wzrokiem rumieniąc się opowiadało uszczęśliwione dziewczę o szlachetności i poświęceniu się dla niej jenerała Barrona, przedewszystkiem podnosiła skromność i delikatność obejścia się jego w najstraszniejszych przygodach, które wspólnie ze sobą przechodzić musieli.

W innych okolicznościach, niewiedziałby szczęśliwy ojciec, jak ma okazać swą wdzięczność szlachetnemu obrońcy i wybawcy swej córki, lecz tak jak rzeczy stały w tej chwili, znajdywał on się w tem położeniu, że mógł nietylko sowicie wynagrodzić poświęcenie się jego, ale nawet uczynić go swoim dłużnikiem. Nie było mu tajnem, że oddając mu piękną swą córkę, uczyni go najszczęśliwszym z ludzi, ale i dla Rebeki nie widział odpowiedniejszego związku, w którymby ziszczonem być mogło jedyne marzenie jego życia: szczęście ukochanego dziecięcia.

Jakże dziś zmieniło się wszystko do niepoznania; po przebytych dniach smutku, przedstawiała się dla nich przyszłość uśmiechająca się szczęściem niczem niezamąconem; a szczęścia tego uczestnikiem miał się stać Franciszek Barron. Wiedząc o tem, dzielny jenerał, nie posiadał się z radości: duch jego podniesiony nadmiarem uczucia zdawał się unosić go ze sobą w nadziemskie wyżyny i były chwile w których zapominał że ziemską powłoką należał do zwykłych śmiertelników grona. Miłość jego ku Rebece rosła z dniem każdym. Benimen nie mógł się oprzeć pragnieniu połączenia się tych dwojga serc bijących wzajemnem uczuciem i chociaż roztropność nakazywała zaślubiny odłożyć do czasów spokojniejszych, zezwolił na połączenie się ich bez zwłoki, wiedziony przedewszystkiem tą myślą, że tym sposobem poskromi wybujały zapał jenerała, z jakim rzucił się w widoczne niebezpieczeństwa i zmusi go oszczędzać życie które do kogo innego już należeć będzie. -

Ślub odbył się w tym samym kościele św. Sulpicyusza, w którym Rebeka ujrzała pierwsze promienie wiary; O. Monroe związał im ręce węzłem, który ustanowił Bóg na uszczęśliwienie swych dziatek. Cała ceremonja odznaczała się prostotą bez zamiaru ściągnięcia na się uwagi ciekawych tłumów. Między obecnymi, zwracał na siebie uwagę mężczyzna, na którego twarzy odzwierciadlało się uczucie szczęścia ożywiające młodych nowożeńców: był to Jacques Margot, wierny towarzysz i sługa jenerała. — W trzy dni po ślubie, jenerał powołanym został do pułku. Jakkolwiek z ciężkiem sercem żegnała się z nim Rebeka, poddała się jednak woli opatrzności bez szemrania, a otuchy dodawała jej nadzieja, że Bóg zmiłuje się nad Francyą i zeszle jej pożądany pokój: a z nim powróci też w objęcia jej ukochany małżonek. — (Dok. n.)

Wielcy poeci słowiańskich narodów.

I.

Aleksander Puszkin.

W literaturze rosyjskiej objawił się w pierwszej połowie stulecia ruch zupełnie podobny do prądów, które równocześnie zawładnęły w piśmiennictwie polskiem. Wystąpiły z sobą do zaciętej walki dwie zasady: klasycyzm, oparty na wiekami uświęconej tradycyi, i romantyzm, szukający treści i formy dla swej poezyi w bezpośredniem natchnieniu i w żywem słowie ludowej pieśni. W Polsce przełamała zwarte szeregi klasycyzmu sielanka Brodzińskiego, dumka Bohdana Zaleskiego a przedewszystkiem wspaniała pieśń Mickiewicza, która objęła całą olbrzymią skalę poezyi, od cichej idylli kurhanków Marylowych aż do olimpijskich improwizacyj Konrada. Podobnie też i w Rosyi w onym czasie, kiedy w Warszawie dzierżył berło poezyi Ludwik Osiński, panowała w piśmiennictwie szkoła Szyszkowska, szukająca swych wzorów na Parnasie greckim i w dramatach Moliera i Racina. Zimna ta poezya nie przemawiała do ludu, do wielkiej masy, bo w państwie północy nie było wówczas ludu w europejskiem znaczeniu tego słowa a wieszcze Katarzyny byli dworakami, którzy jak owe miesiące około słońca krążyli od urodzenia do zgonu około wielkich świateł carskiej familii. Takim samym napuszystym stylem, bez ciepła rzeczywistego natchnienia, wyśpiewał Dierżawin swoją „odę do Boga“ jak i wszystkie te niezliczone hymny w cześć północnej Semiramidy, w których tylko jedno uwydatnia się niezmienne tętno: tętno niesłychanego serwilizmu. W prochu przed następcami Iwana Groźnego tarzali się wszyscy ci autorowie „Rossiad“ a nagrodą poety nie był poklask natchnionej rzeszy słuchaczy a jeno urząd carski lub pensya; to też wszyscy spoczęli rychło na swych wawrzynach w różnych kancelaryach jako zasuszone kwiaty.

W naturalnym atoli rzeczy przebiegu musiała nadejść chwila, która obaliła hierarchów literatury rosyjskiej. Rosya, wychowana w szkole Katarzyny, tej przyjaciółki Fryderyka Wielkiego i Voltaira, stała wtedy otworem dla wszystkich prądów zachodnich. W umysłowym rozwoju ludzkości działy się wtedy olbrzymie przewroty. Była to epoka encyklopedystów francuskich i niemieckich filozofów. Zuchwałe rozumy ludzkie targnęły się na wiekuistą prawdę bożą, nikły płaz ziemski pozazdrościł niebu słońca promiennego. W tej ciężkiej chwili głębsze umysły, znękane grzeszną a bezwocną walką, szukały dla siebie innych źródeł, innej sfery. Z mglistej wysokości Heglowskiej spekulacyi zeszli do nizin, gdzie ich owiało nieznane dotąd ciepło, i znaleźli ukojenie i spokój w nieprzebranych skarbach pieśni ludowej. Nie wszyscy atoli zdołali zaczerpnąć z tego życiodajnego źródła. Inni z wielkiej tej walki, kiedy rozbiły się ich ideały, nie znaleźli innego wyjścia prócz... zwątpienia. Na czele tych aniołów upadłych stanął lord Byron i wyśpiewał znękanej ludzkości mnóstwo cudownych pieśni i poematów. To ciskał gromy przekleństwa na ród ludzki, to znowu rozżalony płakał jak dziecko i modlił się do Boga. Śpiew Byrona przeleciał jak iskra elektryczna Europę, i zapalił umysły. Nieśmiertelna pieśń ludowa i porywająca poezya Byrona — oto początek literatury romantycznej w Polsce i w Rosyi.

W Rosyi wystąpił jako gwiazda nowej epoki Aleksander Puszkin, najznakomitszy dotąd poeta rosyjski.

Urodził się on w roku 1799 w Moskwie jako potomek starożytnej rodziny szlacheckiej. Ojciec jego i stryj, u których się chował, byli żarliwymi zwolennikami francuzczyzny i wielbicielami takich zbłąkanych geniuszów jak Voltaire i Rousseau. To też ognisko domowe nie rozegrzało wcale młodocianego umysłu Puszkina. Tem mniej wpłynęła na niego szkoła, do której poeta w 12. roku życia został oddany, słynne podówczas lyceum Carsko-sielskie, gdzie rówieśnikami Puszkina byli poeta br. Delwig, mąż stanu br. Kopff i teraźniejszy kanclerz moskiewski ks. Gorczaków. Dyrektorem lyceum był sam minister oświaty br. Razumowski, a uczniami potomkowie najznakomitszych rodzin rosyjskich. Arystokratyczny ten pensyonat, którego bezpośrednimi kierownikami byli Francuzi nader dwuznacznej konduity, został wkrótce siedliskiem i szkołą najwyuzdańszej rozpusty. O jakiej-takiej dyscyplinie nie ma co mówić; ideałem tej młodzieży byli oficerowie pułku huzarów, umieszczonego w sąsiedztwie. To też nic nie potwierdza tak wymownie umysłowej siły i geniuszu Puszkina jak ta okoliczność, że w zatrutem powietrzu Carsko-sielskiego lyceum nie zmarniał, że w orgiach szalonych, w jakich się ówczesna młodzież tarzała, nie znikczemniał, chociaż początkowo był duszą wszystkich tych uczt Baltazarowych, w których bogaci niewolnicy moskiewscy szukali odwetu za brak wolności politycznej. Kiedy bowiem w 18. roku życia opuścił lyceum, otrzymał od dyrektora Engelbardta świadectwo, że jest młodzieńcem z gruntu zepsutym, że bogata jego fantazya jest zatrutą, pamięć skalaną obrzydliwemi reminiscencyami francuskiej literatury, a serce puste i zimne. Wszyscy koledzy Puszkina potwierdzali mniej więcej to orzeczenie dyrektora, który, dodać należy, wcale nie był rygorzystą, a i pierwszy występ księcia poetów rosyjskich na szerokiej scenie świata nie rokował wcale późniejszej jego wielkości. Puszkin wszedł na służbę do kollegium spraw zagranicznych i rzucił się z całym zapałem w wir zabaw światowych. Wszakże nie łatwo mu przychodziło zdobyć sobie na wykwintnych salonach petersburskich pozycyę. Od wieków bowiem istnieje między Petersburgiem a Moskwą zawzięty antagonizm; nad Newą nazywają Moskwę parafiańszczyzną. Puszkin, urodzony w Moskwie i nie zbyt bogaty, musiał więc prześcigać lwów petersburskich we wszystkich szaleństwach, a gdzie to nie wystarczało, torował sobie drogę zjadliwym sarkazmem. Mnóstwo ulotnych wierszy i kalamburów pochodzi z tego czasu.

Wśród tego hulaszczego życia bez wyższego namaszczenia i bez jutra, po nocach spędzonych przy szampanie i kartach, nie zapominał wychowaniec Carsko-sielskiego lyceum o poezyi, do której od rannej młodości czuł niepokonany pociąg. I przyznać należy, że ten lew salonowy, pełen ironii dla arystokratycznego tłumu, wiecznie upojony lub przesycony wrażeniami, jakich dostarczają gra hazardowa i przelotne miłostki, uważał poezyę jako świętość, dla hołdowania której zamykał się szczelnie w swym gabinecie, oddychając rozkosznie rzadkiemi chwilami natchnienia. Pierwszym owocem tych dobrych chwil Puszkina był poemat „Ruslan i Ludmiła“, wydany w r. 1810, coś w rodzaju „Wiesława“, ale nierównie szczytniejszy. Wszystko, co w tej idylli wystąpiło, było nowe i dotąd niewidziane. Cała Rosya uczuła prawdę życia, jaka się w tych gorących zwrotkach malowała, a przesycona sztywnemi i zimnemi kreacyami dawnej szkoły, przyklasnęła nowej formie jako zaraniu narodowej poezyi rosyjskiej. Puszkin jednym zamachem stanął na wyżynie literatury. Przebaczono mu jego arystokratycznie-lekceważące maniery, z jakiemi witał innych pracowników piśmiennictwa; stowarzyszenie poetów „Arzamas“ zaprosiło go do swego grona, a koryfeusze ówcześni, Karamzin, Żukowski, Daszkow, Błudow i t. p. wyrażali się z uwielbieniem o 21-letnim wieszczu. Puszkin, władca salonów, opanował i literaturę.

Ale w powietrzu ciężkie chmury zapowiadały burzę. Było to bowiem po wojnach Napoleońskich, kiedy przygasły już blade promienie wolności, jakie rozświecił Aleksander I, a natomiast objęła Rosyę reakcya, z której następnie wyłonił się brutalny militaryzm Mikołaja. Całą Rosyę ogarnęła sieć tajnych stowarzyszeń, a Pestel, Rylejew, Bestużew - Riumin, Murawiew-Apostoł i Kochowskij, późniejsi sprawcy wojskowej rewolty z grudnia 1825 roku, szukali już tedy sprzymierzeńców w gronie młodzieży. Puszkin należał także do nich, ale więcej sercem. Do systematycznej roboty spiskowej brakowało mu przedewszystkiem zimnej krwi i więcej go irytowała trwożliwość cenzora, wymazującego najpiękniejsze jego wiersze, niżeli Metternich lub minister Arakczejew, ów zły duch Aleksandra i Mikołaja. Mimo to policya petersburska uważała Puszkina jako indywiduum wielce niebezpieczne, a gubernator Miłoradowicz śledził go na każdym kroku. W szeregu niezliczonych epigramów autora „Ruslana i Ludmiły,“ które wówczas obiegały rezydencyę, dostała się w ręce gubernatora jego „Oda do wolności,“ którą też natychmiast przedłożono Carowi. Car przywołał Puszkina i kazał mu odczytać wszystkie wiersze i kalambury. Na nieszczęście odczytał Puszkin także zjadliwą swą satyrę na Arakczejewa, wszechwładnego ulubieńca Aleksandra, i to mu zgotowało zgubę. Car zawyrokował Sybir. Dopiero kiedy możni protektorowie jak n. prz. hr. Capodistrias zwrócili uwagę cara na niestosowność tak srogiego ukarania największego geniuszu Rosyi, car zmienił pierwotny wyrok na wygnanie do Kiszyniewa. Na domiar złego, głos publiczny srogo dotknął młodego poetę: oto opowiadano, że car kazał Puszkina przed odjazdem cieleśnie ukarać. Nie wchodzimy w okoliczność, czy ten oburzający fakt wydarzył się istotnie — wszak w tem państwie samowoli i tyranii wszystko jest możebnem — dość, że Puszkin opuścił lśniące salony stolicy z sercem zbolałem i zwątpiałem.

Rosyjscy krytycy uważają za szczęście dla Puszkina i literatury, że od roku 1820 do 1825, t. j. do wybuchu powstania grudniowego, zostawał w głuchej prowincyi w dali od wulkanów stolicy. I rzeczywiście. Duch jego niespokojny byłby się w r. 1825 rzucił w objęcia owych towarzyszy, którzy lirę przemienili na miecz, aby wkrótce odpokutować szlachetny swój zapał dla wolności i prawdziwą miłość ojczyzny na szubienicy lub w kopalniach Nerczyńska. I podczas kiedy stolica wrzała przeczuciem nowych jakichś prądów, nowych myśli, słabo i mglisto kształtujących się na czarnem tle żelaznego autokratyzmu caratu, policya przerzucała Puszkinem z miejsca na miejsce, z Kiszeniewa do Odessy, gdzie wlot został bożyszczem młodzieży, uczącej się w lyceum Richelieugo, a z Odessy do Michajłowska, rodzinnej jego wioski. Wszędzie, gdzie tylko przebywał, dawano mu jak najniepochlebniejsze świadectwo; byronowskie jego maniery miały demoralizować młodzież, a w sercu miał knuć zbrodnicze zamiary na państwo.

Wszakże banicya ta wywarła na literacką karyerę Puszkina wpływ niepomierny. Z dusznej atmosfery salonów został przesadzony na łono wiecznie młodej przyrody, a pod błę-

kitami południa pierś jego odetchnęła. Z pięciolecia tego datuje się kilka prześlicznych poematów. Poetyczny Krym, ten Krym, który naszego Adama natchnął do niezrównanych sonetów, posłużył Puszkinowi za tło do poematu „Bachczisarajskij fontan“ (1822) gdzie uwydatnił swe mistrzostwo w rysowaniu krajobrazów. Zwiedził także Kaukaz, a wspaniała przyroda tych gór podziałała silnie na wrażliwy umysł poety. W poemacie „Kaukazkij plennik“ (niewolnik) przedstawia nader plastycznie tę dziko - posępną Szwajcaryę rosyjską. gdzie kraj i ludzie od wieków zachowali niezmienioną swą fizyonomię, jak owe drzewa w dziewiczych lasach Ameryki. Obok kwiecistych gajów Krymu i wyniosłych granitów Kaukazu przemówiła jeszcze do serca wygnańca żywa pieśń ludu i z zapałem rzucił się do tej nieocenionej skarbnicy poezyi. Owocem tych studyów były poemata: „Bratia rozbójniki“ i „Cygane.“ (1824.)

W tymże samym roku został Puszkin wysłany do rodzinnej swej włości Michajłowska, gdzie jednakże bardzo źle gościł. Żył w wiecznej wojnie z ojcem, który go uważał za straconego człowieka.

Tymczasem wybuchła rewolta grudniowa. Powiadają, że Puszkin udał się był już wpodróż do Petersburga, aby wziąść udział w spisku, ale że na pierwszej stacyi pop prawosławny zaszedł mu drogę, w skutek czego zawrócił. W trzy dni potem dowiedział się, że powstanie się nie udało i że przewódców ruchu straszliwa czeka kara. W lecie następnego roku rozpowszechniono wieść, że Mikołaj zamierza ułaskawić wszystkich politycznych przestępców, którzy podczas ostatniej kryzys siedzieli cicho. Puszkin, któremu pobyt u ojca z każdym dniem stawał się nieznośniejszym, postanowił korzystać z tego zwrotu w usposobieniu żelaznego cara. Napisał do niego list z prośbą o pozwolenie powrotu do Petersburga. Natychmiast przybył do Michajłowska carski kuryer, który zabrał z sobą wygnańca i powiózł do Moskwy, gdzie właśnie Mikołaj przebywał. Ciekawą jest rozmowa Puszkina z carem. „Po której stronie stałbyś dnia 25. grudnia, gdybyś się wówczas znajdywał w Petersburgu?“ miał car zapytać. „Po stronie powstańców“ odpowiedział Puszkin. Otwartość ta podobała się Mikołajowi: jego obietnica, że będzie odtąd lojalnym, była więc podwójnie cenną. Mikołaj uścisnął zdumionego i oszołomionego poetę, a w tym uścisku przepadła niezawisłość ducha największego poety Rosyi. Poznał wprawdzie Puszkin od razu, że następca Aleksandra I., który przyjaciół jego młodości, towarzyszy jego śmiałych światoburczych rojeń powywieszał lub poosadzał w lochach Petro-pawłowskiej twierdzy, że ten nieprzebłagany autokrata chce jego pozyskać, że wyznaczając mu sowitą pensyę roczną, chce dla lodowatego tronu swego kupić tę złotostrunną lirę. której z uniesieniem od lat pięciu słuchała cała Rosya. Poznał to Puszkin i nie zawrzał oburzeniem, a kiedy wychodził z Mikołajowskich podwoi, pakt jego z caryzmem był już gotów.

Odtąd datuje się upadek Puszkina. Poeta czuje cały ciężar tego ołowiu, który osadzono na skrzydłach jego geniuszu, i on, co pierwej chorował na *Weltschmerz* więcej dla mody i brawady, bajronizuje teraz na prawdę, a wszelka skarga jego pochodzi szczerze z głębi zranionego ducha.

W takiem usposobieniu napisał Puszkin najznakomitszy swój poemat: „Ewgenij Oniegin.“ (Dok. n.)

Kronika.

Rzym. Od smutnych wieści zacząć musimy kronikę dzisiejszą. Przez cały tydzień alarmują świat niepokojącemi wiadomościami o zdrowiu Papieża. Pisma liberalne z skwapliwością podają groźne telegramy o stanie zdrowia Piusa IX., a choć one już tylokrotnie okazały się fałszywemi, to jednak w obec wysokiego wieku i ciężkich utrapień Głowy Kościoła nie wykluczają prawdopodobieństwa — i to właśnie przyczyną trwogi. Z katolickich jednakże dzienników dotąd tyle tylko wyrozumieć można, że Papież jest rzeczywiście osłabiony, lecz niebezpieczeństwa niema.

Francya. Katolicy Francyi nie tracą ufności ani nie przestają pracować nad odrodzeniem wewnętrznem narodu, mimo wzrastającego i do najwyższego stopnia już posuniętego niebezpieczeństwa ze strony gambetystów. Dnia 10 listopada odbyło się posiedzenie tak zwanej *l'Union catholique de la Touraine*, która kieruje sprawami sześciu katolickich uniwersytetów Francyi. Arcybiskup z Bourges, Msgr. la Tour d'Auvergue prezydował zgromadzeniu, a prezydent stowarzyszenia p. de Bovent zdawał sprawę ze stanu uniwersytetów. W pięknej swej mowie zacytował słowa Baudona: „Nie masz nic piękniejszego nad Chrystusa“ i stosował je do zadania katolickich uniwersytetów.

Dnia następnego odbyły się solenne uroczystości z powodu święta patrona stowarzyszenia św. Marcina, przy współudziale licznych pielgrzymów.

Dzieło św. Pawła. Kanonik Schorderet we Fryburgu założył stowarzyszenie, dające materyalną pomoc *prasie katolickiej*, i tytulujące się: „L'Oeuvre de saint—Paul.“ Ma ono na celu rozszerzanie dzieła, któremu poświęcił się był sławny Apostoł narodów, Paweł święty. Pomimo niezliczonych trudności, przeszkadzających temu doskonałemu dziełu, utrwaliło się i rozwinęło się pod użyźniającym wpływem papieskiego błogosławieństwa. — Jakiż jest skład, jaka działalność tego „Dzieła św. Pawła“? — Jest to stowarzyszenie dziewcząt, które czują, że nie napróżno zostały ochrzczone, że nie nadarmo nazywają się „katoliczkami“: które więc, w swej gorliwości pragną apostolską odznaczyć się pracą. — A jakim sposobem? — Oto, z wytrwałością i z wielką korzyścią zajmują się one *drukowaniem kilku katolickich gazet*: a tak najpewniej, przynajmniej o tyle przyczyniają się do rozpowszechnienia „prawdy,“ jak n. p. professorki lub katecheci. — Znana jest wartość „katolickich“ gazet. Ależ gazeta każda ma dwa żywioły: *pisarzów*, którzy wcielają myśl w zdania; i *drukarzów*, którzy dla tej wcielonej myśli nadają skrzydła, mające ją w krótce zanieść aż na krańce świata.

Otóż to „Dzieło świętego Pawła“ ma cel przejęcia obydwóch tych żywiołów uczuciami Chrystusowemi: aby tak pisarze i drukarze, a konsekwentnie i czytelnicy stali się prawdziwymi „chrześcianami.“ — Rozumie się, że takie dzieło ze wszech miar zasługuje na poparcie moralne i materyalne. Nic dziw więc, że mechliński prymas, kardynał arcybiskup, Deschamps, dnia 8. czerwca b. r. w Święto Serca Bożego, w Rzymie publicznie zawołał: „Dzieło św. Pawła przyczynia się do zaspokojenia jednej z tegoczesnych potrzeb najbardziej, naglących.“

Nie dziw, że sześćdziesięciu kilku dygnitarzy chrześcijaństwa, (kardynałów, arcybiskupów i biskupów,) bardzo energicznie popierają to dzieło: a sam wielki Pius IX. daje mu apostolskie błogosławieństwo!

Nie dziw więc że „katolickie kongresy" w Paryżu, w r. 1874. i r. 1875. wzięły to dzieło pod swą obronę, i najmocniej je zaleciły każdemu.

Głównym protektorem dzieła tego jest sławny genewski wygnaniec, biedny msgr. Mermillod, hebroński Biskup in part. inf. i apostolski wikaryusz dla Genewy.

W tym roku dzieło to zostało także i w Paryżu ustanowionem — Kupiono grunt przy rue de Lille, nr. 51, gdzie będzie drukarnia tego Stowarzyszenia, na usługi „katolickich" wydawnictw: A że ta drukarnia się wypłaci sowicie, to pewne. Kapitał czterdziestutysięcy franków, potrzebny na założenie, rozłożony jeśt na obligacye, niosące pięć od sta. Te odsetki są zapewnione na podwójnej hypotece, fizycznej i moralnej, — *fizyczną* hypotekę stanowi:

1.) Wartość gruntu i budynku nr. 51 rue de Lille w Paryżu.

2.) Materyał i ruchomości nowej drukarni, wartujące sześćdziesiąt tysięcy franków; a nie obciążone najmniejszym nawet długiem.

Moralną hypotekę stanowi: „Apostolstwo uświęconej gorliwej pracy." — Wprawdzie to nie może być na giełdzie notowane, a nawet może śmiech wzbudzić u nowoczesnych giełdhabów; ale katolicy dobrze znają ogromną wartość „chrześcijańskiej drukarni": więc ją dobrze zużytkują. *Obligacye „dzieła św. Pawła"* sprzedaje kassier tego dzieła: Comte Amecourt, w Paryżu rue de Lille 51. — i Paweł Chantrel syn, rue de Verneuil 35. — który jest reprezentantem *świeckiego komitetu* będącego zwykłą kommandytą pod firmą: „Soussens et Comp."

* * *

Galicya. Boleśną stratę poniosła literatura ojczysta przez śmierć Lucyana Siemieńskiego, żołnierza, poety, krytyka, historyka, publicysty i założyciela *Czasu*. Dzisiaj poprzestajemy na zapisaniu tej straty, zanim obszerniejszy poświęcimy zasłużonemu mężowi nekrolog. Zmarły przez lat 29 pracował w redakcyi „*Czasu*" i był jak się *Czas* wyraża, wyłącznym gospodarzem jego feiletonów. Jakkolwiek talent i praca Siemieńskiego stawiają go na czele obecnych naszych stylistów i krytyków, my wszakże z naszego stanowiska przedewszystkiem opłakujemy w nim zgon szczupłej liczby publicystów, których cechowała wierność zasadom katolickim i zamiłowanie prawdy. Umiera już drugi z tych ludzi, a żaden nie zostawia zastępców zdolnych odpowiedzieć zadaniu, jakie opróżnione stanowiska przedstawiają. Powiedział ktoś w „Gazecie lwowskiej" „że nie warto już dziś napisać pięknej książki," a myśmy inne słyszeli słowo: „dalej, mówiono nie będzie już dla kogo Polski wskrzeszać!" — a obydwa te zdania mimo parodoxalności swojej tę smutną wskazują prawdę, że znikają wśród nas ludzie, którzyby we wskrzeszone ciało ojczyzny zdolni byli tchnąć prawdziwego ducha narodowego życia i narodowej tradycyi. Z boleści i żalu ocknąwszy do czekających na każdego z nas obowiązków, powiemy to samo, cośmy wypowiedzieli nad grobem X Jana: Jeżeli nie możemy sprostać pracy i działaniu ś. p. Lucyana indywidualnie, podzielmy ją w zgodzie i miłości pomiędzy siebie, aby na stanowisku narodowem nie było opróżnionego posterunku.

Lwów. Prolog przed wyborczych manipulacyj zakończony. Nieśmiertelny komitet 150, poczynający się od A . . . a kończący się na Z . . . wybrany — a z jego łona po wykreśleniu niektórych żywych i zmarłych wyszedł taki sam komitet ściślejszy, zaczynający się i kończący temi samemi literami. Mówiąc na seryo — czas już położyć koniec nader wadliwemu systemowi komitetu *150!* Wyborcy powinni wiedzieć komu powierzają ważną sprawę wyboru, a żaden z nich nie zna tych 150 tak dokładnie, aby mógł im spokojnie zaufać. Ale szkoda słów naszych.

Konserwatyści lwowscy, nie wykluczając tych, do których z obowiązku należałaby pewna inicyatywa, trzymają się włoskiej zasady: „ani wybrańcami, ani wyborcami" a kto się odważa nie trzymać tej zasady, ten „staje na pochyłości i sprzymierza się z *Gazetą Narodową* i ufać mu nie można." Czy straż to zasad czy prywata? To pewna, że póki od tej zasady nie odstąpią nasi konserwatyści, póty ratusz pozostanie: „wyłącznie uprzywilejonym *narodowcym* przybytkiem". — Ks. Adam Sapieha przez komitet ściślejszych na posła przedstawiony nie przyjął kandydatury.

* * *

Protestantyzm rozpadający się w gruzy. Coby też powiedział Luter lub Kalwin albo też Zwingli, gdyby dziś który wstał z grobu, i przeczytał dzieła Hegla. Woltera, Darwina, Renana i Buichnera?

Istna „wieża Babel" z gruzów *protestantyzmu!* — A dzień każdy nowe dowody przynosi, że owa sławna zasada Luterska: „liberum examen," czyli *swobodne przyjmywanie lub odrzucanie Bożych objawień:* koniecznie do „deizmu" à la Rousseau, lub do „ateizmu" à la Voltaire, a w końcu do Darwinizmu czyli „małpomanii" prowadzi.

Rozumie się, że *uosobniony protestantyzm*, t. j. cesarz Wilhelm, co po Sedanie pisał: „Welche Wendung durch Gottes Fügung!" chciałby gwałtem niedopuścić do ostatecznej katastrofy, grożącej „protestantyzmowi" w najbliższej przyszłości: więc on się najmocniej sprzeciwia obieraniu takich pastorów, którzy całkiem jawnie głoszą „ateizm," a wyrzucają „apostolski skład wiary." — Ale niestety! Ani nawet Bismark ani miliony Bismarków nie przemogą „logiki faktów." A jeśli nie chcą tego domyśleć się, protestantyzm sam powiada to im najwyraźniej.

I tak dnia 31 października roku bieżącego, obchodzono w Berlinie uroczystość trzystosześćdziesięcioletnej rocznicy owego dnia 31 paźdz. 1517 w którym Dr. Marcin Luter swoje heretyckie tezy wywiesił w kościele Wittenbergskim. — Myślał by kto więc, że ta uroczystość była odnowieniem „luterskiej wiary" w owe tezy. — Ale gdzież tam! — Ich tyle tylko obchodzi „wiara," że pragną ją do szczętu wytępić: Oni odprawili pierwszą „Stadt synode," głoszącą „ateizm." Wprawdzie prezydujący, generalny superintendent, Dr. Bruickner, w mowie wstępnej błagał najusilniej, by ten synod zapomniał o interesach prywatnych partyi, a dbał o jednomyślność: ale większość *ateuszowska* zaraz wystąpiła z mowami i wnioskami, dążącymi jawnie do ateizmu i stłumienia „pietystów," co mieli by jeszcze ochotę odgrywać rolę „wierzących," jak gdyby heretyk mógł być „wierzącym."

Synod wybrał też na „przewodzców, członków „Protestantenvereinu" ateuszowskiego; głównie figurują panowie

Hossbach, Techów i Kochhann, a właśnie przeciwko nim powstawał niegdyś cesarz Wilhelm: bo Hossbach miewał kazania ateuszowskie, a Techów i Kochhann żądali zniesienia „składu apostolskiego.“ *Stadtsynode* okazała więc, że drwi z nauk cesarza Wilhelma, którego powinnaby słuchać podług owej luterskiej zasady: „*Cujus regio illius religio*,“ to znaczy: „Kto jest politycznym władcą, ten i nad sumieniami absolutnie panuje.“

Mówiąc mimochodem, podług tej luterskiej zasady, powinienby był sam Bóg-człowiek, Pan nasz Jezus Chrystus, być prawdziwym „poganinem,“ żyjąc pod panowaniem pogańskich cesarzy, Augusta i Tyberyusza. — Konsekwentnie więc Lutrzy i w ogóle „heretycy“ powinni się do „pogaństwa“ przyznawać, a nie nazywać się „chrześcijanami,“ gdyż nauka i życie Chrystusa wręcz sprzeciwia się owej luterskiej zasadzie. Ale gdzież by „heretyk“ dbał o konsekwencyę i rozum? im co bardziej sprzeczne i rażące, im głupsze: tem u nich lepsze. A my nietylko że wcale nie mamy powodu smucić się ani tym ich nie konsekwentnym sposobem działania, ani tą dążnością do „ateizmu,“ i do małpomanii, tego ostatniego wyrazu herezyi: ale przeciwnie powinniśmy serdecznie cieszyć się z tego, że *wrogi Kościoła* sami się ośmieszają, sami się aż na stopień „małp“ degradują; a tym sposobem li tylko dla „ludzi,“ szanujących swą ludzką godność, pozostawiają ten jedyny możliwy teren „rozumnego“ życia, którym jest *święty katolicyzm nieomylnego Kościoła*. Przyjdzie niezadługo czas, w którym ta prawda będzie dla wszystkich jasną: a wtedy katolicy wdzięczni będą Bogu za dar *Wiary*.

Dr. Stanisław Morawski.

* *

Przegląd dziennikarstwa. Komicznie to wygląda jak panowie z *Dziennika polskiego* ubierają się w sutannę. Jest to oczywiście skutkiem wyobraźni rozkołosanych ich głów i postaci, szukających po bezsennej nocy drzwi na ulicy halickiej. Przyśniło w ten sposób jednemu z nich, że otrzymał list z miasta od X. R., który mu zdradza tajemnicze plany X. Stojałowskiego w celu założenia codziennego politycznego dziennika we Lwowie. Sny się czasem urzeczywistniają, a *Dziennik* będzie miał dość czasu po sprawdzeniu sennych swych marzeń polemizować z ultramontańskim dziennikiem. Tymczasem radzimy mu, aby zamiast oddawać się marzeniom, zamiast bronić krakowskich żydów, usiłujących podkopać kredyt Kasy Oszczędności — zechciał przyłożyć starania do nauczenia się polskiego języka, a wówczas nie będzie używał słów takich jak n. p. planować, bankocetle, adulatorstwo, imitator i t. p. które zdradzają żydowsko-makaroniczne jego wykształcenie.

* *

Ruch od pewnego czasu popada w artykułach wstępnych w taką mglistą zawiłość, że niepodobna go zrozumieć. Przytem grzeszy on przesadą w twierdzeniach swych o „reakcyi, zabijaniu uczuć narodowych“ i używa tak niestosownych wyrażeń jak n. p. „loża“ stańczyków.

*

Szanowny Redaktorze!

Wiedeń dnia 29. Listopada 1877.

W num. 6. Piasta otworzywszy nowy dział pod tytułem: „Konferencye poufne“ wezwałeś czytelników, by uwagi swe przyjacielskie udzielali redakcyi. Korzystając z tego wezwania przesyłam kilka słów, by wskazać, jak zapatruje się obca nam prasa, a mam tu na myśli num. 326. *Vaterlandu* z dnia 27. listopada b. r., na wydawnictwo *Piasta* i broszurę: „*Czas i jego polityka*“.

Otóż czasopismo to niemieckie zapominając twardych i przykrych słów, jakie redaktor *Piasta* na wiecu katolików w Wiedniu o *Vaterlandzie* wyrzekł, zarzucając mu brak sprawiedliwości względem Polaków i inne rażące usterki — tak się wyraża o walce, jaka dzisiaj wre w całej Galicyi między pseudoliberałami a konserwatystami. „Jako pośrednik między dwoma partyami występuje od dawnego czasu redaktor *Piasta*, *Wieńca* i *Pszczółki*, ks. Stojałowski, który z wszelką słusznością wzywa spierających się do porzucenia nielojalnych, a do celu nieprowadzących środków, jakoteż i do umiarkowania. *Czasowi* i konserwatystom przyznaje on w zasadzie słuszność, atoli wypowiada zarazem jawnie i bez ogródek, że partya konserwatywna aż do dzisiaj za mało starała się o duchowe i materyalne podniesienie niższych klas, szczególniej zaś wieśniaków, którem to twierdzeniem, jak dowcipnie a zarazem charakterystycznie *Vaterland* się wyraża, autor wbił im klina w głowę. „*Der Autor hat damit den Nagel auf den Kopf getroffen*“. Omawiając zaś pomysł redaktora Piasta co do wieców katolickich, dla których i o statuta odpowiednie już się wystarał, tak się wyraża. „Wezwaniu temu nie pozostaje, jak, tylko przyklasnąć, tem więcej, iż obawa jest nader słuszna, by niepowołane liberalne żywioły nie wzięły sprawy tej w swe ręce. Rady więc Stojałowskiego, które nie mają na celu przewrotów demagogicznych, ale prawdziwe dobro uciśnionych klas, znajdują i między duchowieństwem bardzo liczne poparcie! a milczenie *Czasu* o broszurze „Czas i jego polityka“ może się tylko przyczynić do zmniejszenia już i tak wielce zagrożonej powagi konserwatystów“.

Zapytasz redaktorze, co mnie spowodowało do przytoczenia tychże słów z *Vaterlandu*. Wyznam otwarcie, iż boleść tylko, jaką w duszy każdego wywołuje ta dziwna, a wskutkach swych złych nieobliczona walka piór gazeciarskich, która podkopuje powagę, sieje niezgodę i nieufność, i wrogom zostawia otwarte pole do szykanady i tego tak często przez nich powtarzanego twierdzenia: „*Wo drei Polen zusammen sind, hat man fünf Meinungen*“ co ztąd pochodzi, że prędzej niemieckie pismo przyzna słuszność polskiemu, a niżeli jedno polskie innemu polskiemu, i to nawet wówczas gdy oba pisma są jednakowych zasad. — A nadto pozwolisz mi zapytać się, czyżby nie można we Lwowie dla wschodniej Galicyi założyć pismo codzienne o szczerze katolickich zasadach, pismo konserwatywne, ale takie, któreby nie jednostki na celu miało, ale społeczność całą, to jest rodzinę, stany, kraj i Kościół owe wszelkiej społeczności podwaliny. Myśl ta powinna mieć nadzieję powodzenia, t. j. założone nowe czasopismo codzienne znajdzie z pewnością tylu przedpłacicieli, aby nietylko wegetować ale i żyć i istnieć mogło, czego dowodzi „Unia“, która z początkiem swego wyjścia miała według twierdzenia z tą sprawą obznajomionych 900, mówię dziewięćset prenumeratorów! — A pozwolisz Szanowny Redaktorze, iż i drugą jeszcze myśl podniosę. Czyżby redakcya nie mogła podjąć się tego poświęcenia i czyżby nie zdecydowała się *Piasta* przemienić na pismo polityczne codzienne? *A. K.*

Imieniny Jego Excell. JX. Arcybiskupa zgromadziły wczoraj o godzinie 5 popołudniu duchowieństwo miejscowe i kilku kapłanów z prowincyi, jak JX. Opata Nowakowskiego, Jks. Dziekana Siekanowicza, X. Dr Lewickiego. W imieniu zgromadzonych przemówił JX. Infułat Mosing w te niemal słowa: „Jak poprzednich lat, tak i tego roku spotyka mię ten zaszczyt, abym w dniu Imienin Waszej Ekscellencyi był tłumaczem uczuć Duchowieństwa względem Waszej Ekscellencyi. Wywiązując się z tego miłego obowiązku składam wyrazy czci i uwielbienia, oraz synowskiego przywiązania wszystkich ku dostojnej osobie Waszej Excellencyi. Co do życzeń, nie mam innych, lepszych nad to, aby głęboka nauka, wzniosłe cnoty i pasterska gorliwość Waszej Excellencyi, przy dobrem i czerstwem zdrowiu, przyświecała nam jeszcze w najdłuższe lata. Taka jest nasza modlitwa codzienna do Pana Zastępów.“ Jego Excellencya odpowiedział w tej treści: Carissimi Fratres! Niech Wam Bóg zapłaci za życzenie, które mi przez wymowne usta X. Infułata złożyliście. I ja Wam dziękuję za modlitwy, cześć posłuszeństwo i synowskie przywiązanie, jakie mi, jako Pasterzowi Waszemu przez Najwyższego Namiestnika Chrystusowego postanowionemu zawsze okazujecie. Dziękuję Wam za Waszą pracę, Waszą światłą radę, jaką mię wspieracie, teraz zwłaszcza w dźwiganiu ciężaru, który mię wskutek podeszłego wieku i nadwątlonego zdrowia przyciska. Polecam siebie nadal modlitwom Waszym w tym moim wieku, a i ja za Was codziennie zanoszę modlitwy do Boga, abyśmy razem, kiedy nas już wszystkich Bóg ztąd odwoła, znaleść się mogli po prawicy Najwyższego Sędziego, czego sobie i Wam życzę.“

Następnie ucałowali wszyscy obecni rękę Arcypasterza, a gdy przyszła kolej na profesorów wydziału teologicznego na wszechnicy lwowskiej, Dziekan wydziału X. Sarnicki, w krótkiej przemowie złożył życzenia w imieniu wydziału. Jego Excellencya odpowiadając pięknie przemówił: „Dziękuję Wam serdecznie za życzenie, które mi składacie, a jako pracującym około wychowania młodzieży polecam, abyście przedewszystkiem starali się wpajać w serce młodzieży bojaźń Bożą. Ciężkie są czasy dla Kościoła Bożego, liberalizm, niedowiarstwo i obojętność coraz bardziej się wzmaga, potrzeba więc koniecznie, aby była bojaźń Boża i silna wiara w sercach. W dyecezyi chełmskiej, gdyby nie byli mieli kapłani głębokiej wiary, i w sercach ludu zaszczepili głęboko tej wiary, nie byliby oni wytrwali tak dzielnie wśród ciężkich i gwałtownych prześladowań. Tak i wy młodzieży wpajajcie zrozumienie i miłość gruntowną dla wiary, aby gdy kiedyś lepsze przyjdzie pokolenie i na Was spłynął ztąd zaszczyt ku chwale Kościoła katolic., a przedewszystkiem ku chwale Boga w Trójcy Jedynego.“

* * *

W sprawie adresu redaktorów katolickich do Ojca św. z prośbą o ogłoszenie patronem redaktorów św. Franciszka Salezego, przyłączył się do adresu p. Stanisław Roman, redaktor *Pielgrzyma*. Upraszamy naszych współpracowników z prowincyi o przyłączenie się do adresu w jak najkrótszym czasie. W tych dniach adres wyszlemy na ręce J. E. X. Kardynała, a treść jego dla braku miejsca odkładamy do przyszłego nr.

WIADOMOŚCI DYECEZYALNE.

Metropolia Lwowska.

X. Majerczak Marcin, wikary bełzki, z powodu słabości uwolniony od duszpasterstwa do maja 1878.

X. Bajewski powrócił na posadę wikarego do Stanisławowa. X. Antoni Królicki, uzyskawszy prawo obywatelstwa austr., przyjęty do archidyecezyi i zatwierdzony wikaryuszem w Kulikowie. X. Wcisło uwolniony od duszpasterstwa otrzymał alimentacyę.

X. Reinhart Alojzy proboszcz w Rodatyczach i X. Kiernik Antoni prob. w Busku otrzymali expros. canon.

X. Michał Mycielski mianowany prowincyałem OO. Jezuitów w miejsce X. Kautnego.

Wieś Czystyłów wyłączona z parafii Tarnopolskiej, a wcielona do parafii Piotycza.

Dnia 23. listop. b. r. † Antoni Roszczyński, proboszcz w Serecie ur. 1838. ord. 1863.

Dyecezya Krakowska.

Examen prosynodalny, pro beneficiis curatis obtinendis in futuro, złożyli: Ksiądz Dr. Wincenty Smoczyński, wikaryusz Kolegiaty WW. Świętych w Krakowie i ks. Franciszek Pietrzykowski wikaryusz z Morawicy.

Ks. Nowak Piotr, dotychczasowy wikaryusz w Morawicy usunięty z posady na lat trzy dla odprawienia rekolekcyj w jednym z klasztorów Krakowskich.

Dyecezya Tarnowska.

Ks. Józef Oświecimski, prob. z Chronowa otrzymał beneficyum Borzęcin; ks. Franciszek Szczudło, wikary z Pilzna został proboszczem w Witkowicach; ks. Władysław Smołucha przeniesiony z Borzęcina na administratora do Chronowa; ks. Piotr Grębosz z administracyi w Witkowicach przeniesiony za wikarego do Pilzna.

Dnia 23. listopada umarł w Jeleśni proboszcz ks. Franciszek Traufelder, wysłużony kapelan wojskowy, urodzony w Wieliczyńcu w Czechach r. 1839. Na administratora do osieroconej parafii przeznaczono ks. Władysława Dobrzańskiego.

Ks. Jan Motyla, wikary z Otfinowa otrzymał prezentę na Królówkę.

Od redakcyi i Administracyi.

Z powodu przeniesienia redakcyi i administracyi do domu przy ulicy Śnieżnej nr. 4 — ten nr. spóźnił się o dni kilka. Zwracamy uwagę na nowy adres — i przypominamy, że niektórzy szanowni prenumeratorowie jeszcze mają zaległe należytości.

1000 missaliów

do rozdania! Cały rocznik Piasta z r. 1876 i 1877 za missaliów 8. Upraszа się tych, który Piasta za missalia brali, aby donieść raczyli, czy i kiedy missalia załatwione zostały.

Z drukarni Zakł. nar. im. Ossolińskich.